



JACEK
BIERUT

j

Fragment 1

Ojciec zostawił nóż w nadkrojonym bochenku. Hałas, który się pojawił po jego wyjściu, nie był żadną odpowiedzią. Trudno czasami wyjaśnić, skąd się wie coś, co się wie. Kilka sekund po wyjściu ojca ze swojego miejsca na ścianie odpadł obraz Matki Boskiej. Adka od tej chwili miała pewność, że zmieniło się wszystko. Nie tylko to, że matka oczekuje już od ojca tylko jednego. Żeby nie rzucił jej dla jakiejś baby. Choć jej lamenty, kiedy okryta kocem szukała w półmroku gwoźdźcia na podłodze, dotyczyły wtedy przyszłości i lekko otłuczonej ramki.

– Matko Bosko, i co teraz?

– Będzie, co będzie – odpowiedział ten nowy.

– Mówisz tak, bo zęby ci gniją w gębie.

– Tak, zębów cała gęba, a nie ma czym gryźć – podsumował sołtys.

Nawet już wcześniej, zanim zasiedli do gry, w taki sam trudny do wytłumaczenia sposób Adka zauważyła, że to oczekiwanie matki wobec ojca właśnie się kończy. Ale nie dlatego, że ojciec stracił zainteresowanie sąsiadkami lub miastowymi. Nie chodziło także o jakąś zmianę w spoglądaniu Matki Boskiej ze swojego miejsca na ścianie, z tym ledwo zauważalnym uśmiechem. Nieco chłodnym, ale jednak pozbawionym wyniosłości. Jakby tylko ona jedna mogła tu wisieć i tak spokojnie patrzeć na to wszystko. Istota z prawdziwego kościoła, w którym liturgia, sakramenty i światło zza witrażowych szkiełek są prawdziwe. I sprawiają jednocześnie radość i ból. A dalej jest tylko Niebo. Takiego kościoła Adka nie widziała nawet w mieście. Choć już wiedziała, że wszystko, co należy do kościoła, powinno być wszędzie, ale kościół tego nie chce.

– Wszystko, co do ciebie należy, zmieści się z tobą w trumnie – powiedziała matka, kiedy ojciec szykował się do gry.

– Kraaa, kraaa! Nie kracz!

– Przegrasz wszystko!

– Kraaa!

– Wszystko, co do ciebie należy, zmieści się z tobą w trumnie!

Skąd wiedziała? Ostatniej nocy śnił jej się kościół. Obcy, pusty i zimny. To oczywiste. A ten wieczór trwał dłużej niż zwykle i nie chciał minąć. Coś było w powietrzu, coś przenikającego kłębiący się papierosowy dym. Coś, co wyostrzyło wyraz twarzy matki, przeszwaJCowało ten jej grymas obawy, który nie opuszczał jej prawie nigdy. Teraz to była czysta panika. Mężczyźni milczeli. Ten nieznajomy wypił berbeluchę i odstawił kieliszek tak gwałtownie, że resztki tego smrodu bryznęły na karty.

Adce nie podobał się ten człowiek. Przyglądała mu się, ale tak, żeby tego nie zauważył. Nie wiedziała, jak on się nazywa, ale i to dała radę sobie

wytlumaczyć. Nazwisko musi mieć miejscowy, u obcych nazwisko się nie liczy, u obcych liczy się sam człowiek. Obcy to zawsze ktoś, komu nie należy ufać. Ten był okropny, ale nie gorszy od innych. Miał dziwne oczy. W kształcie rombów. I inaczej się ubierał. Przez chwilę ją zastanowiło, czym się różnią mężczyźni ubrani od rozebranych. Czy gdyby byli goli, zachowywaliby się tak samo? Czy gdyby byli dobrzy, wszystko też byłoby dobre? Czy gdyby mężczyźni ze wsi byli tacy jak ci z miasta, wszystko byłoby lepsze? Tylko co by się musiało stać z ich ubraniami? Czy mogłyby trafić do sklepu z używaną odzieżą? Nie. Akurat tego była pewna. Nikt by tych szmat nie chciał nawet z najtańszego stosu. One się nie nadawały już nawet do prania. I to nie dlatego, że teraz się tak pocili. Czy wyglądałoby lepiej, gdyby raz na jakiś czas zmieniali te swoje łachy? Pewnie tak, ale niektórzy wyglądają zawsze tak samo, nawet jak się ubiorą w kościotowe spodnie i skórzane kurtki. Jak się pracuje całe życie, to nie ma nawet czasu umyć twarzy. Miejscowi mogą chodzić w czymkolwiek. I chodzą.

– Każde rozdanie wychodzi tylko na oko – westchnął sołtys.

– Siekierę można... – sama do siebie westchnęła matka. Żeby się uspokoić? Uchyliła drzwi do letniego pokoju. Zimny jęzor liznął po nogach. Zamknęła je prawie natychmiast.

– Na oko to ja was zaraz ścierą przeświecę.

– Stul się – ojciec był chyba pewny, że karta przyszła.

Na stole leżało dużo pieniędzy. Same zagraniczne. Niektóre zmięte, niektóre skręcone od długiego leżenia w rulonikach, niektóre złamane przez środek, sterczące połową ku górze. Matka stanęła blada przy kaflowej kuchni. Poprawiła koc na plecach.

– Dla mnie dwie – ojciec pokazał dwa brudne palce – bo mnie dmie – dodał i pierdnął, unosząc lewy półdupek.

Nie rozbawił tym gości, choć woń była solidna, jak po kapuście z zeszłorocznego kisenia. Twarze mężczyzn przy stole pozostały nieruchome, prawie martwe. Karty ojca leżały przed nim. Długo ich nie odkrywał. Z miny można było wnioskować, że wie, co dostał. Spojrzał w okno zarośnięte obrazkami ze szronu. Adka bała się tak bardzo, że miała ochotę przykryć sobie głowę kołdrą. Trochę chciało jej się wymiotować.

– Przybastuj – sołtys napomniał ojca.

– Peniasz?

– Przybastuj.

– Nie cykaj!

– Dla mnie dwie, jak we śnie.

– On się budzi i nigdy nic nie pamięta.

– Ale smak w gębie jaki, jakbym całą noc skwarkę lizał.

– Bo żeś zębów nigdy nie mył.

– A co ja, głupi, żeby chodzić do dentystki?

– Ona wrywna, oj, wrywna.

– A bez dentystki nie można umyć?

– A po co? Ziemi nie żrę.

– Tak, zębów cała gęba, a nie ma czym gryźć – podsumował sołtys.

Adka miała już pewność, że mężczyźni w ogóle nie wiedzą, o co chodzi w życiu. Nawet nie chcą wiedzieć. Tacy są i nigdy nie będą inni.

– Zdrów – powiedział ten, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Podniósł wysoko brodę i czekał na reakcję. Podrapał się po podbródku. Sprawiał wrażenie kogoś, kto bez trudu rozniósłby cały dom. Kogoś, kto jest zdolny zrobić prawie wszystko.

– Jak zdrów, to witam – zakpił ojciec i uderzył się zaciśniętymi pięściami w piersi. Mocno.

Gęsia skórka ściągnęła Adce przedramiona i uda. Prawdopodobnie nie z zimna. Ze strachu. Bała się, bo obserwowała spojrzenie matki. Żadna z nich nawet nie mrugnęła. Oczy ojca znieruchomiały, zapadły się bardziej niż zwykle. Ciężkie, znacznie cięższe niż od codziennego niewyspania po wczorajszym picu. W szybę uderzył wiatr. W piecu zahuczało. Banknoty na stole lekko się poruszyły. Ten nieznamy mężczyzna wyjął papierosa, postukał nim o blat stołu i włożył go do ust. Ale nie zapalił. Ojciec podniósł najpierw jedną kartę, potem drugą. Bardzo powoli. Ułożył je w dłoni między pozostałymi trzema. Przełożył. Poprawił. Pierd ojca dotarł do Adki drugą falą. Tamten sięgnął po benzynową zapalniczkę. Powietrze mogłoby teraz wybuchnąć od jednej iskry. Przełożył ją między palcami i odłożył obok swojej kupki banknotów. Pociągnął niezapalonego papierosa. Ze sporym kunsztem skupił się na wciągnięciu i wypuszczeniu nieistniejącego dymu. Ojciec przez moment znów spoglądał w okno.

– Śniły mi się dziś lody o smaku parkietu.

Matka upuściła ścierkę na podłogę. Potem coś się stało. Ze stołu zniknęły pieniądze. Ojciec podszedł do kredensu, nadkroił chleb, ale porzucił ten pomysł, zostawił nóż w bochenku i wyszedł. Bez czapki. On nigdy nie wychodził bez czapki. Nawet latem. Tak Adka widziała go ostatni raz przed pogrzebem. Zgarbiony. Mały. Z posklejanymi włosami. Matka Boska upadła na podłogę.

– Fredziu – matka szepnęła za nim, prawie nie poruszając ustami.

Fragment 2

Praca miała polegać tylko na pilnowaniu dziecka. Przyszła przed czasem. Obserwowała ich. Oczy mieli jak ludzie opętani. Jakby tam mieli drobno rozkruszone szkło podświetlone mocnym światłem. To mogła być jakaś straszna choroba. Włosy jak sztuczne. Skóra jak odcięta od dopływu krwi. Wcale się jej kolorem nie afiszowali. I nie byli bogaci. Nie trzymali koni. Nie mieli jeepa z wysokim kominem. Nie posiadali broni myśliwskiej. Ani nawet krótkiej. Przynajmniej na widoku. Może nawet wcale nie mieli broni.

Słońce schowało się szybko. Ciągnęło za sobą suchy wiatr z głębi lądu. Powietrze spadało na ziemię z bardzo wysoka. Kiedy brało się je do płuc, zatykało. W takich dniach ludzie nie wypuszczali się poza wyasfaltowane ulice. Zdarzało się, że zwierzęta podchodziły do pierwszych murowanych domów. Księżyc wydawał się większy. W takie dni nie wolno było się zbliżyć do skał nad oceanem, choćby pojawiły się tam tego dnia pingwiny. Tłuste mięso. W dodatku tak mało płochliwe, że zabić takiego ptaka to żadna przyjemność. Ale sąsiad matki poszedł i nigdy nie wrócił. Nie znaleziono jego ciała. Tylko jeden kłapek na skale. Znowu sporo mówiono o duchach północno-wschodniego wiatru. Ludzie lubili te opowieści, głównie dlatego, że im się podobały i przypominały czasy, kiedy jeszcze byli szczęśliwi.

Polacy jednak ubierali się weselo. Ale w smutne ubrania. Kobieta zakręciła się w kółko jak mała dziewczynka. Sukienka się jej podniosła. Przyjrzała się sobie w lustrze. Nerwy jak żywe włókna. Skóra pachnąca słodką wodą. Proste linie nóg. Oddech o lekkim zapachu mleka i garnka po fasoli. Założyła niepraktyczne buty. Najwyraźniej cieszyła się na to wyjście. Jej mąż przecesał sobie wąsy, nastroszone tak samo jak brwi. Matce Murzyna te wąsy podobały się najbardziej. A także nogi tego mężczyzny. Było na nich pełno poskręcanych czarniawych włosków. Takie same wychodziły mu spod koszuli. Było w nim mnóstwo męskości.

Matka czekała w kuchni. Spytała, czy będzie mogła pooglądać telewizję. Dziecko spało. Klimatyzacja ledwo działała. Coś ciężkiego wisiąło w powietrzu. Dali jej numer telefonu w razie czego i poszli. Zajrzała do starodawnej lodówki. Dbano o nią, bo pachniała ładnie. Było tam tylko kilka owoców, mleko i kawałek sera. Ser to najdziwniejsze, co biali biorą do ust. Sfermentowany, a nawet podpleśniały blok. Zrobiony z nieczystego mleka parzystokopytnych. Z mleka biedaków. Na samą myśl, że mogłaby tego spróbować, zebrało jej się na torsje. Przyłożyła policzek do chłodnych drzwi lodówki. Ta odezwała się cichym mruknięciem.

Matka nalała sobie trochę wody do najładniejszej filiżanki i poszła do salonu. Zdziwił ją siedzący na stole wielki klaun. Wielki jak człowiek. Ubrany w

kolorowe szmatki. Z domalowanym przesadnym uśmiechem. Z kręconymi białymi włosami opadającymi na oczy.

– Po co im taki klaun?

Włączyła telewizor i trochę pstrykała po kanałach. Znalazła ciekawy program o życiu młodych dziewczyn w Europie. Wcale nie zajmowały się tańcem i śpiewem, jak tutejsze dziewczyny w wolnych chwilach. Miały ciągle nowych chłopaków i każdemu pozwalały na bardzo wiele. Matce się to podobało. Szczególnie ci chłopcy. Żaden z nich nie myślał o tym, kogo zabić. Ale nie mogła się skupić na filmie, bo ten klaun ją niepokoił. Miała wrażenie, że nie spuszcza z niej oka. Po co im taka zabawka? Na stole? O wiele za duża dla dziecka. Białych trudno zrozumieć. Poszła sprawdzić, czy dziecko śpi. Kiedy wróciła, znów miała wrażenie, że klaun wodzi za nią wzrokiem. Na innym kanale był program o modzie. Bardzo ciekawy. Dziewczyny nosiły w nim takie niewygodne ubrania i robiły wyniosłe miny. Miały naburmuszone wargi. Jakby robiły łaskę, że pozwalają na siebie patrzeć. Strach byłoby do takiej podejść. U nich takie miny miewali tylko chłopcy. Ale tylko kiedy wracali wieczorem ze zdobyczą na plecach. Odkąd polowania dla czarnych stały się nielegalne. Ale kiedy nie ma nikogo, kto odważyłby się pytać, nic nie jest nielegalne. Każda dziewczyna powinna się uczyć takich min na specjalnych zajęciach. Może dostawałyby lepszych mężów. Może nawet białych. Z przebywania w parach może brałoby się coś lepszego.

Zainteresowała ją postać Chrystuska. Wisiała nad drzwiami na małym krzyżyku. Wisiała jako oznaka pobożności. Choć była jej zaprzeczeniem. Lekceważeniem nakazów dekalogu. Lemba i biali dekalog mieli ten sam. Choć biali troszkę zmieniony. Tylko zupełnie co innego z niego wynikało. Chrystusek wydał jej się ciekawy. Mesjasz, któremu się nie powiodło? Czy przebywał kiedykolwiek w parze? Czy chciał od jakiejś dziewczyny tego, czego od dziewczyn chcą mężczyźni? Czarni i biali. Czy dziewczyna powinna marzyć o tym, żeby zostać żoną kogoś takiego? Albo żoną księdza? Sporo ich przyleciało z Europy. I tak chętnie spotykali się z dziewczynami.

Podeszła bliżej. Jaka udręczona ta malutka twarzączka. Niemal dziewczęca. Ciupeńkie gwóźdki w obu nadgarstkach. Jeden przebijający obie stopy. A największy gwóźdź wbity w ścianę. Żeby krzyżyk miał na czym wisieć. Biali w swoich domach mają dla niego jeszcze po dodatkowym gwoździu.

Klaun zdawał się rozumieć jej zdziwienie. Miała wrażenie, że bierze oddech. Mimo domalowanego uśmiechu wyglądał jak nadąsany. Jak psychopata. Psychopatów to akurat dziewczyna musi umieć rozpoznawać od razu. Świń albo gnoi nie musi, ale psychopatów tak. Przeszła się po domu. Obejrzała obrazki na ścianach. Przedstawiały białych ludzi. Na niektórych było widać drzewa. Bardzo ładne są takie drzewa. W Europie musi być pięknie. Tutaj wszystkie domy,

nawet domy białych, są brzydkie i zwyczajne. Nawet biurowce w centrum. Nawet otoczone wysokimi parkanami rezydencje bogaczy. Wszystkie sprawiają wrażenie opuszczonych. Im dalej od centrum, tym brzydsze. Aż do tych najdalszych, ulepionych po dawnemu ze zwierzęcego wyschniętego łąna. Tyle że dachy miały już z blachy. Trawą nie krył już nikt. W Europie domy są inne. Nie mówiąc o drzewach.

Zanuciła fragment piosenki. Nie doszła jednak nawet do refrenu. Głupio jej było śpiewać przy klaunie. Zrezygnowała z zajrzenia do szafki. Ten klaun miał chyba w oczach jakieś chińskie kamerki. Chociaż bardzo ją ciekawiło, co biali trzymają w szafkach. Wróciła na sofkę przed telewizorem. Żaden program już jej nie zainteresował. W życiu nie kupiłaby sobie takiego klauna. Biali są jednak głupi. To wcale nie jest dziwne, że wszyscy chłopcy chcą jakiegoś białasa zabić. Za dobrze im jest. Na przykład śnieg. Jeśli ktoś może cieszyć się śniegiem dłużej niż przez trzy dni raz na kilkanaście lat, to powinien to umieć docenić. Śnieg jest piękny. Piękne są wysokie drzewa obsypane śniegiem. Zbyt rzadko pokazują to w telewizji. Drgnęła, bo zdawało jej się, że klaun poruszył nogą. Nie chciała na niego patrzeć.

Już wtedy musiała być sobą. Kimś, w kim zawsze za dużo jest jakiejś siły.

Podeszła do telefonu. Wybrała numer z karteczki. Poprosiła o rozmowę, podając zapisane na kartce nazwisko. Dziwaczne. Zupełnie niepodobne do dźwięcznych nazwisk białych. Jakby było karą dla kogoś, kto je nosi. Musiała przesylabować.

– Ma-ar-zyn.

Poznała go po głosie. Poznała też, że był zaniepokojony.

– Przepraszam, że dzwonię. Wszystko dobrze. Dziecko śpi. Ale czy mogę wynieść tego klauna?

– Jakiego klauna?

Poczuła niepokój. Biali mają w domach okropne zabawki i o nich nie pamiętają?

– Tego, co siedzi na stole. Taki wielki.

Najpierw ten wąsaty mężczyzna nic nie mówił. Ciężko oddychał. Właściwie dyszał wprost do słuchawki.

– U nas nie ma żadnego klauna.

– Siedzi na stole.

– Bierz dziecko i uciekaj. Jadę!

Fragment 3

– Fajne macie ciuchy! Jak na filmach. Znacie filmy?

Ten dwunastoletni odwrócił resztę ciała. Bardzo powoli. Z bronią wciąż gotową do pierdzenia i z przymrużonymi oczami ruszył wprost do matki Murzyna. Widać było, że zna się na swojej robocie. Szedł, starając się nie odrywać bosych stóp od ziemi. Tak, żeby wszyscy czuli, że zaraz nic tu nie zostanie w jednym kawałku. Oprócz niego samego. Bo on potrafi i ma takie możliwości i magazynek gotowy na jeszcze więcej. I palec.

– Co znamy, to znamy – odpowiedział.

– Chodź, zobacz – matka Murzyna powiedziała to tak lekko, jakby mówiła do młodszego kolegi, jakiegoś syna sąsiadów. – Wpadła. Jaka przestraszona. Popa. Jaka. Wyciągniemy?

W dole brzucha to już nie była rewolucja. To była sraczka. Chyba po tej wodzie z kibla. Ale to nie sraczka. To coś innego. Nie było czasu na dół brzucha i nagłe bóle.

– Co? – spytał z wciąż przymrużonymi oczami.

Mógł albo spytać, albo pierdzieć. A jak pierdzieć, to porządnie. We wszystko dookoła. W szklaną ścianę na końcu. Żeby się rozsypała. Jak uwolniona woda.

– Ale pytasz. Sam popatrz. Biedactwo.

Nie spojrział tam, gdzie chciała. Spojrział na nią. Jednym okiem. Przez muszkę na końcu lufy. I to tak, że poczuła, że sama stoi na końcu tej rurki, a on wędruje po jej ciele, w górę, przez brzuch, aż do głowy. Nigdy nie wolno tracić głowy. Chociaż z brzucha chciało się coś urwać. Jakieś kamienie. Jakiś syf.

– Jak na ciebie mówią? – spytała.

Ruch jego lufy zatrzymał się wprost na jej oku. Zrobiło jej się ciepło w tę część twarzy. Wszystko w niej chciało zamknąć powieki, ale ich nie zacisnęła. On nie nacisnął cyngla. Palec mu się jakoś nie rwał do roboty. Może wcale nie jest tak łatwo zabić kogoś, kto chce poznać twoje przezwisko. A może doszło do uniesienia się chłopięcego serca?

– Imię to wiesz. Nie pytam o imię. Mój stary dał mi na imię tak, że nawet matka tak do mnie nie mówiła. Nikt tak do mnie nie mówi. Jak na ciebie mówią?

Ojciec spojrział na nią wyraźnie zdziwiony. Ale chyba bardziej cieszył się z tego, że nikt na razie do niego nie strzelił.

– Na mnie mów Pi – powiedziała i trochę się zmartwiła, że na chłopaczku nie zrobiło to żadnego wrażenia. – Wiesz, co to jest? To jest taka liczba, której nikt nie zna. I nie pozna. Nigdy.

– Akurat – zaśmiał się. – Ja znam wszystkie liczby. Do stu. A nawet więcej. Liczby są słabe. Jak się coś da policzyć, to znaczy, że nie warto tego liczyć.

– Ja tam lubię liczby. A ty? Co lubisz?

Naprawdę się zastanowił. Ucieszyła się. Ludzi lepiej uważać za tych, którymi chcieliby być.

– Lubienie jest dla głupków – odpowiedział.

– No pewnie, ale jak byś lubił, żeby na ciebie mówili? – pokazała na jego kumpli i zatoczyła ręką na cały Płaskowyż.

Chyba mu się to spodobało. Cały Płaskowyż. Zastanowił się poważnie.

– To ważne, jak na ciebie mówią i jak będą mówić. Życie jest fajne, jak się przechodzi do legendy. Inne życia są dla głupków.

– Chcę, żebyście na mnie mówili – zwrócił się do pozostałych chłopaków – Kapitan.

– Kapitan – wybuchnęli śmiechem.

– Nie mogę.

– Zejść się.

– Słabitan.

– Głupi jesteście – Pi przerwała im zabawę. – On jest od teraz Kapitan i koniec. Może nie?

Śmiechy ucichły.

– A na ciebie jak mamy mówić? Jak chcesz? – spytała pierwszego z brzegu.

Bardzo go zaskoczyła. Skulił się pod szynelem. Przykurczył. Niemal zniknął. Prawie nie było go widać. Nabrał powietrza i poruszył bezgłośnie ustami. Ale tylko tak, jakby próbował je przyzwyczaić do ruchu, jaki jest potrzebny, żeby udało się wymówić to słowo. A może jakby je sobie przypominał? Pobierał z innego świata?

– Żołądeczek – powtórzył ten sam ruch ust, ale wypowiedziane słowo było tak ciche, że niemal nie było go słychać.

– Jak? – krzyknął jego kolega.

– Żołądeczek – powtórzył już pewniej. – Żołądeczek.

Wszyscy w śmiech.

– Żołądeczek! Żołądek!

– Nie Żołądek, tylko Żołądeczek. Nie znacie się. Nic a nic. Mama tak do mnie mówiła.

Przestali rechotać w jednej chwili.

– Żołądeczek, słyszycie. Mama nie żyje? – spytała Pi, chociaż nie trzeba było pytać, bo chłopcu zaskliły się oczy. Innym także. To chyba nie było wśród nich mile widziane. – Jak mama tak mówiła, to Żołądeczek i już. Co mama, to mama. Żołądeczek. Fajny jesteś. Też miałam mamę. Mama jest super. I dla mnie ona wcale nie jest tak całkiem nieżywa. Tu ją noszę – klepnęła się w bawełnianą

podkoszulkę. – Żołądeczek, Kapitan, chodźcie do mnie. Będziemy razem zapamiętywać. Każdego po kolei. Wszystkim się należy. Wszystkich zapiszemy tu – przetarła ziemię tuż przed sobą. – A potem będziemy czytać. Każdy zapamięta. – Kapitan – schyliła się i kciukiem zapisała pierwszego, głośno literując. – Fajne nazwanie. Kapitan. Podoba mi się. Super. I łatwo zapamiętać. Ja już pamiętam. Kapitan i Pi. Nie? Wszyscy tak będą mówić. Zobaczysz. Będą mówić: Kapitan i Pi. Zrobili to i to. Teraz ty. Żołądeczek. Ciebie zapiszemy obok. Żo-łą-de-czek. Ładnie. Żołądeczek – powiedziała to tak, żeby wszyscy usłyszeli i żeby im się spodobało. Miała bardzo ciepły głos. Podniosła głowę. – Żołądeczek jest fajny. Aż od razu chce się go lubić. Taki miły. Ja cię lubię, Żołądeczek. Kapitan też. Kapitan i Pi lubią Żołądeczka. Kto następny?

Zostawili ojca pod szklaną ścianą. Podeszli. Przybiegli też następni z budynku stacji. Mieli w rękach czekolady. Białas z dodatkowymi brwiami odszedł od okna i gdzieś zniknął.

Pi potrafiła pomóc każdemu. Pi potrafi wszystko! Został jej ostatni. Nic nie mówił. Nawet spytany po raz dziesiąty, jak by chciał być nazwany.

– Ty będziesz Płaskowyż – wypaliła. – Zapiszę cię największymi literami.

Płaskowyż. Nawet Kapitan jęknął. Wszystkim się to spodobało. Zazdrość to zazdrość. Płaskowyż to nazwanie dla szefa Kapitana, nie odwrotnie. Nikt jednak nie oponował. Hierarchia została ustalona. Poza tym nikt już nie śmiałyby sprzeciwiać się Pi. Sprzeciwianie się Pi byłoby już głupie. Nikt by tego głośno nie powiedział, ale po co mówić rzeczy, które wszyscy wiedzą?

– Płaskowyż. Ty jesteś silny i odważny. Pomożesz mi w studni.

Nie musiała tego powtarzać. Zaraz zresztą wszyscy podeszli zajrzeć, co tam się dzieje. Hiena zobaczyła w ciasnym kółeczku na tle nieba samiutkie główki. Pisnęła. Od tych głów szedł zapach, który hieny uwielbiają i który je przeraża. Zapach trupów, których nie można zjeść.

– Idę pierwsza – zdecydowała Pi. – Potrzyj – podała klapki Żołądeczkowi. – A ty za mną – powiedziała do tego, który się jeszcze nie odezwał, ale wszyscy mu i tak zazdrościli.

Zatrzymała się zupełnie nagle. Obejrzała w kierunku stacji. Podążyli za nią wzrokiem. Ojciec siedział koło kibla oparty o ścianę. Wyglądał jak nieprzytomny. Głowa zwisała mu na jedno ramię. Coś mu kapało z ucha. Aż się prosił, żeby ktoś pierdnął serią. Pi powstrzymała ich samym ruchem dłoni.

– Kapitan. Niech mi ktoś tego starego porządnie przypilnuje. Bo z nim to muszę jeszcze coś załatwić. Oj, muszę – powiedziała tak, jakby mu życzyła najgorszego.

– A ty, Kapitan, jesteś najważniejszy. I dlatego przyprowadź tego białaska z dodatkowymi brwiami po nosem. Tylko żeby mi cały był. Mamy z nim do zatańczenia. Nie? Ale najpierw wyciągnie toto z tej dziury. Prawda? Płaskowyż. Co się będziemy męczyć? To robota dla białasa.

– Hienę?

– No.

– A po co wyciągać hienę?

– No co ty? Pomyśl, jak to będzie śmiesznie wyglądało.

Kapitan narysował na pisaku szubienicę z dyndającym człowiekiem. Białas szedł pod lufami. Już samo to wyglądało śmiesznie. Prowadziło go dwóch maluchów. Tak małych, że to mogłoby się tylko przyśnić. Ledwo dźwigali te pistolety maszynowe z połową magazynków. Z całymi mogliby się niechcący postrzelić w stopy. Ich szynele to były właściwie same frędzle. Po ilości frędzli można było rozpoznać rangę. Im więcej frędzli, tym pozycja na pace ciężarówki niższa. Im więcej frędzli, tym krótsze życie przed sobą. Wiadomo, że wszyscy mieli krótkie. Może nawet jeszcze z tydzień. Kapitan chyba specjalnie wysłał tych dwóch. Nikt do nich do tej pory nic specjalnie nie mówił. Tym bardziej, że od tej pory trzeba było na nich mówić Mimi i Oczko. Sami to sobie wymyślili. I trzeba było to zapamiętać. Bo Pi zrobiła odpytywanie z nazwań każdego chłopaka. Po kolei. I na wrywki. I nie chciała przestać, aż wszyscy zapamiętali wszystkich. Po co pamiętać przezwiska takich dwóch, którzy może nawet do jutra nie dadzą rady pożyć? Kapitan wysłał ich zapewne dlatego, że akurat dziś na ciężarówce nikt nie liczył się mniej. Bo jak nie można od razu białaska zabić, bach-bach, i przywiązać do burty jako niezłe trofeum, to trzeba go przynajmniej upokorzyć. A może chciał, żeby białas ich zabił i żeby nie trzeba było tych głupich nazwań pamiętać. Mimi i Oczko.

– I co, białasku? Nie lepiej było od razu pomóc? – spytała Pi.

Uśmiechnął się chytrze, ale nie odpowiedział. Chyba planował zyskanie na czasie. Pewnie kiedy został sam, zadzwonił po kogo trzeba. I pewnie się spodziewał, że niedługo tu będą. Staną z daleka i będą wszystko obserwować przez lornetkę. Nie będą nic mówić. Nikomu się nie spieszy do tracenia życia wraz z bronią i szynem. Nastawią celownik. Spróbują ostrzału z daleka. Ale postrzelą tylko kilka sąsiednich krzaków. Postrzelać z bliska nie podejną. Chyba że ich dowódcą będzie ktoś nowy, przysłany z zachodniego wybrzeża. Jakiś świeżo po szkole albo ze sztabu. Kolejny białas o dziwnej twarzy z przewagą delikatnych rysów. Założy sobie okulary na oczy. Potrze nos. Pokaże palcem, kto któredy. I się zacznie. Żołnierze nie traktują tego w kategoriach zabawy. Jak dzieci.

Ojciec Pi spojrział na ten chytry uśmieszek zupełnie przerażony. Kazali mu uklęknąć przy tej studni. Nie mógł się odwracać. Ręce miał mieć złożone w tyle. I miał. Wcale nie trzeba było ich wiązać. Na dłoniach rany. Nie wyciekało z nich wiele krwi. Raczej porobiły mu się tam fioletowawe strupy. Pachniały zgnitymi fiołkami.

– Ty, białasku, jesteś jakiś inny. Skąd to się przyjechało?

Kapitan spojrział na Pi z uznaniem. Odróżnienie białasa stąd od białasa skądinąd wcale nie było łatwe. Wszyscy biali wyglądają podobnie. Czasem tylko się różnią kolorem włosów. Biali są okropni, ale najgorsi są ci, którzy przyjechali. Miejscowe biały nie są już tak pewni siebie. I żadnych nowych biały tu nie potrzeba. Bo ci sobie myślą, że są lepsi. Za każdym razem, kiedy przyjeżdża nowy biały, wszystko zaczyna się od początku. I trzeba z tym skończyć. Trzeba wysadzić w powietrze wszystkie lotniska. I portowe nabrzeża.

– Z Polski – mruknął.

– Z Polski – powtórzyła, jakby wiedziała, co to jest ta Polska. – Dostajesz nazwanie Polas. I od razu ci powiem, Polas, źle zrobiłeś, że dzwoniłeś. Bardzo źle. A teraz, Polas, do dziury.

– Jak?

Płaskowyż szcęknął karabinem.

– Normalnie. Polas. Czasem jest ciężko. Właściwie zawsze. Do dziury.

Polas spojrział w otwór. Spocił się od jednego spojrzenia. Jakby mu na głowę ktoś wylał kubek gorącego tłuszczu z węża. Tak właśnie wyglądają przedstawiciele ginącego gatunku. Kapitan wyjął z kieszeni garść orzeszków kola i zaczął głośno chrupać. Wszyscy usłyszeli. Polas wsunął nogę na pierwszy szczebel drabiny i zawył.

– Ja mam dzieci w waszym wieku!

Fragment 4

Szukała oddziału, plaskając o podłogę bosymi, brudnymi stopami z taką determinacją, jakby jej zdrowie i życie wrywało się w przeciwnym kierunku.

– To pani? – spytał lekarz pędzący korytarzem w przeciwną stronę.

Przechodzimy obok kogoś, ale go nie rozumiemy. A potem go mijamy i już nie spotykamy nigdy.

– Ja – odpowiedziała.

– Pani uciekła? Czy pani nie uciekła?

Zwinęła usta w trąbkę i ułożyła mięśnie twarzy w sugestywny grymas, dając jasną informację, że nic tu nie jest proste, a nawet wszystko jest nadzwyczaj skomplikowane.

– Ale jak się pani czuje?

Z jednej strony rzeczywiście źle, przekazała tę informację ruchami dłoni, a z drugiej strony wspaniale, na końcu tej gestykulacji zabłyśły jej oczy.

– Proszę za mną – podjął decyzję i zawrócić.

Pędził korytarzem. Przywykła już do posłuszeństwa wobec mężczyzn, ale też czuła, że nie zawsze już będzie chciała im ulegać. Teraz zależało jej przede wszystkim na butach, torebce i różańcu. Ta cudza sukienka zaczęła jej się nawet podobać. Ten dzień to wielka uroczystość, największa uroczystość w jej życiu. Starła się za nim nadążyć. Ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że ten cały ruch, miganie okien, drzwi i ludzi, jest pozorny, że to złudzenie ruchu spowodowane trwaniem innego obrazu w siatkówce oka. Ważne obrazy zostają tam nie na ułamek sekundy, ale na znacznie dłużej. Bo czuła się tak, jakby to ona stała, a raczej leżała, a obok niej przejeżdżał pociąg. I że może już nigdy nie opuści tego nasypu kolejowego i całe jej życie będzie świętowaniem jej dzisiejszej odwagi. Bo zdobyła się na nią, kiedy należało podjąć decyzję. Nie deliberowała. Zrobiła to, co należało zrobić. I to w odpowiednim momencie, ani za późno, ani za wcześnie. Odzyskać buty, torebkę i różaniec, a nawet ubranie, ale nie po to tu przyszła. Lekarz wprowadził ją do gabinetu. Wszystko się zatrzymało. Kazał jej usiąść. Nie usiadł za biurkiem. Usiadł obok niej. Położył sobie jej dokumentację na kolanach. Przeglądał ją, a nawet czegoś w niej szukał.

– Jak się pani czuje?

– Dobrze.

– Wymioty, zaburzenia równowagi, ból głowy?

– Nie.

– Zbadam panią. Proszę się położyć.

Wskazał na kozetkę. Błyszczały mu oczy. Obejrzał jej nogi. Zgiął jedną w kolanie. Zbadał odruch bezwarunkowy. Z drugą zrobił to samo. Tylko uderzył łżą w kolano. Zaświecił jej lampką w oczy. Sukienka zsunęła jej się z nóg do samych

bioder. Rozpiął jej sukienkę. Założył stetoskop. Posłuchał serca. Czują, że w klatce piersiowej wszystko jej dudni, tłucze się, wrywa. Spojrzał jej w oczy. Pogładził jej sutek. Spodobał jej się. Pomyślała nawet, że łatwo może podnieść prawdopodobieństwo zajścia w ciążę. I że powinna to zrobić, żeby tak głupio nie egzystować. A nawet sprawić, że dziecko będzie miało dwóch ojców. Jednego lekarza i jednego złotą rączkę. Trzeba słuchać własnego instynktu i być odważną, odważną, odważną. I naprawdę, wcale jej nie chodziło o buty, torebkę i różaniec.

– Wygląda dobrze – powiedział.

Arleta była tego samego zdania. Znikała zresztą w jakiejś mgle. Wszystko zaczynało się od początku. Niewyraźnie to pamięta, ale pamięta, że wyraźnie poczuła, jak w jego sercu rozlewa się ciepło. I że żadne z nich niczego się nie wstydy, i że oboje wiedzą, że powinni już zacząć. Oczywiście nie zacząć mówić o miłości, tylko przejść do jej rzeczywistej postaci, żeby nie zwariować, bo innej drogi wyjścia już nie było. Nie ma innej drogi, tylko miłość i miłość. Zamiast serca miała słoik miodu, ale bez opakowania. Zaczął wydawać nieprzyzwoite dźwięki. Zdjął stetoskop. Od czegoś musiał zacząć. W całym jej ciele, w każdym fragmencie, od prostego oddania do oszalałych myśli, dudniło, nie chciało przestać i wszystko do niej przychodziło od niego. Co to znaczy, nawet się nie zastanawiała. Ścisnął jej niedużą pierś tak, że nawet tego nie zauważyła. Jakby ją ścisnął od zawsze. Niewiele widziała, ale zauważyła moment, kiedy doktor rozpiął rozporek. Nie trzeba mu było pomagać, ale chciała mu pomóc. Ssała delikatnie, aż zrobił się bardzo twardy. Dodała pieścizoty językiem. Ale nie doprowadziła go do końca, chociaż przycisnęła jej głowę. Zamarła w bezruchu. Miała go bardzo głęboko w ustach. Odepchnęła go i zmusiła do zamiany miejsc. Usiadła na nim lekko. Zakręciła monstrualnymi biodrami. Wygięła się, podniosła i opadła. Powtórzyła to wielokrotnie. Wybuch spermy poczuła fizycznie. Jako myśl, że przed nią już coś, a za nią nic. Usłyszała jęk i okrzyk. Bez wątplenia plugawy. W ustach wciąż czuła gorzko-słonawy posmak. Doktorek wybuchnął śmiechem. Oparł się o nią rozgrzanym czołem. Na jej przedramię pocięła z jego ust ślina. Podjął decyzję i wyciągnął. Znalazł idealny moment.

– Jakbym się kochał z kobietą, która nie do końca jest człowiekiem.

– Ja?

– Raczej ja. Jakbym znów był chłopcem. Rozumiesz?

– Tak.

– Jakbym wchodził w wodę. Rozumiesz? Jakbym był górą, która wchodzi, osuwa się w wodę i to woda ma uznać, kiedy dość. Kiedy jest pełna.

– Pełna?

– Pełna mnie.

– Tak. To tak było. Powtórzymy?

– Napijmy się.

Odkręcił butelkę wody gazowanej. Ręce mu drżały. Rozlewał do szklaneczek, ale sporo rozlał na biurko. Podał jej szklanekę. Swoją wznosił wysoko, oczy także, jakby zaraz miał zamiar wygłosić jakiś toast, powiedzieć coś nad wyraz uroczystego. Nie powiedział jednak nic poza kolejnym „napijmy się”. Położył się na kozetce z szeroko rozłożonymi nogami.

– Powtórzymy? – spytała ponownie.

– Potem. Muszę dojść.

– Wypiszesz mnie?

– Nie mogę.

– A na własną prośbę?

– Nie mam cię dokąd zabrać.

– Żona?

– Nawet nie o to chodzi.

– Chcesz, żebym tu została?

– Tak.

– Ale ja nie mogę. Przynies mi moje rzeczy.

– Teraz?

– Tak. Muszę iść. Ktoś na mnie czeka.

– Mąż? – lekarz miał teraz bardzo poważny wyraz twarzy.

– Mniej więcej. Syn ojca i matki.

– Brat?

Poczuła, jakby wsadzała głowę do własnej głowy i patrzyła z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, niczego nie mogąc smakować.

– Mąż czy brat?

– Byłeś kiedyś w RPA?

– Nie. A jaka jest odpowiedź?

– Wobec tego nie byłeś?

– Nie.

– A czy wierzysz w istnienie Arki Przymierza?

– Interesujesz się religią?

– Nie za bardzo. Staram się tylko nie musieć odpowiadać na pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

